

— No, no, jak ten czas leci, ani się spodziewałem... dawajże obiad, nie będę siedział przed próżnym talerzem.

— A jak długo ja czekałam? — patrzyła gniewnie na męża.

On poczuwał się wprawdzie do winy, ale przez ambicję nie chciał się przyznać, wyznawał bowiem zasadę, że nie można przed żoną okazać skruchy, bo ona natychmiast zechce kolki ciosać na głowie, a ponieważ najwygodniejszą obroną jest uprzedzić zarzuty i pretensje, mąż tedy spojrzał niezadowolony na żonę, mówiąc:

— Otóż to małżeńska przyjemność! Człowiek haruje od rana samego, biega, pracuje, ujada się, ażeby tylko zarobić i ażeby w domu niczego nie zabrakło; przychodzi odpocząć, a tu kwasy, pretensje, fochy, i o co? O głupie spóźnienie się na obiad, — a ponieważ był po obfitem śniadaniu dodał: — człowiekowi obrzydnie jedzenie i wyrzeknie się obiadu przy takich kwasach. Zjedz sama, ja już nie chcę, — wstał od stołu.

Ogarnął ją nagły żal nie tylko z powodu wgardzenia jej obiadem, ale i możliwości, że wcale nie wyjdzie z mężem na miasto, z którego to spaceru obiecywała sobie tak dużo. Gniew swój i oburzenie ukryła pod maską wielkiego żalu, zerwała się z krzesła i przytrzymując męża za rękaw mówiła:

— Jasiu, siadź! Ja tylko dla ciebie przygotowałam taki wyborny obiad. Tak się cieszyłam, że będzie ci smakował, a ty nie chcesz? Proszę cię, jeśli mnie kochasz, zostań i zjedz.

Ta prośba pochwiliła jego próżności męskiej, pomyślał, że jeśli ona tak bardzo dba o niego, jeśli dla niego obiad przygotowała, trzeba być wspaniałomyślnym, przebaczyć jej i zjeść ten obiad.

— Tym razem ustępuję tobie, ale pamiętaj Romciu, że nie lubię żadnych kwasów i fanaberyj. Interesa są interesami, i ja dla głupiego spóźnienia się na obiad nie mogę tracić.

Marcinowa wniosła zupę w wazie; sama pani napełniła głęboki talerz męża i podsuwając powiedziała:

— Jedz, Jasiu, to twoja ulubiona zupa.

— A tak, tak, dosyć lubię, — zabierał się do jedzenia, — chociaż lubię każdą zupę.

Jadł. Zupa była za słona i za mączysta i mąż miał wielką ochotę odłożyć łyżkę, ale żona mówiła:

— Doskonała zupa, prawda, Jasiu?

— No, tak.

— Jedz, proszę cię, dla ciebie ją zrobiłam.

Westchnął głęboko i zjadł. Marcinowa przyniosła rozbratle, były przesuszone i twarde, a kartofle zdębiałe.

— Wiem Jasiu, jak lubisz rozbratle i młode kartofelki, jestem pewna, że będą ci smakowały.

— Kiedy naprawdę nie mam dziś jakoś apetytu, — powiedział po skosztowaniu.

— Ależ, Jasiu, dla ciebie się tak wykosztowałam... jedz, mój drogi. Rozbratle doskonałe, — gryzła z zapalem twarde mięso zdrowymi, młodem zębami.

Pożałował teraz, że zgodził się tak lekko-myślnie na zjedzenie obiadu i to po obfitem śniadaniu, ale jak tu odmówić żonie, która tylko dla niego przygotowała te przysmaki. Po chwili odłożył nóż i widelec, mówiąc z pewną ulgą:

— Mam, Romciu, dosyć!

— Jasiu, jeśli mnie kochasz, skończ ten rozbratel. O, kartofelków nie masz! — dorzuciła mu kilka kartofli.

Winecki w głębi serca poczuwał się do winy. Na budowę ledwie zajął, a spotkawszy znajomych wstąpił najpierw na kieliszek wódki i przekąskę, następnie w innej knajpie znów przyjął poczęstunek, potem zaprosił swych towarzyszy na dobre piwo, i w ten sposób zeszedł czas do trzeciej godziny. Miał wyrzuty sumienia, że nie był przy budowie czas dłuższy; że wydał sto-

sunkowo dość pieniędzy i że wreszcie czekała żona z obiadem na niego do tak późnej godziny.

Inna żona byłaby piekło zrobiła mężowi, a Romcia ledwie się skrzywiła, i tak go kocha, tak mu chce we wszystkim dogodzić, taka dobra kobieta, czyż ma ją zmartwić, odsuwając jedzenie?

I z obrzydzeniem kończył twarde, łykowały rozbratle i niesmaczne, lojowate kartofle.

Jednak gdy zobaczył opadnięty i przypalony suflet, odsunął talerz i rzekł:

— Romciu, żądaj co chcesz, ale już tej leguminy nie mogę jeść.

— Tak, masz słuszną, — powiedziała żalonym głosem, — nie udał się ten suflet Marcinowej, — pokosztowała, — chociaż wiesz, Jasiu, on tylko tak wygląda, ale jest bardzo dobry, spróbuj!

— Niel Nie mogę! — skrzywił się.

— Ale proszę cię Jasiu, choć troszeczkę, on był dla ciebie zrobiony.

— Mówię ci, że nie, jeszcze coś kwaśnego, ale słodki...



Przed lustrem w sypialnym pokoju.

— Dam ci... może zjesz omlet? Zaraz będzie.

— Niel Niel Dosyć tego jedzenia.

— A teraz Jasio pójdziesz grzecznie spać, — mówiła z uśmiechem, tonem macierzyńskim, — a potem pójdziemy na spacer. Dobrze?

— Zdrzemnę się trochę... jestem zmęczony, — ziewnął i wstał od stołu.

— A kiedy obudzić ciebie?

— Kiedy? — przyglądał resztki włosów na łysinie, — tak około szóstej...

— Bardzo dobrze i zaraz wyjdziemy, — szła do pokoju sypialnego przygotować łóżko.

— Hm... wyjdziemy? — zawahał się, podkreślił ciemne opuszczające się na usta wasy, — no, zobaczymy! — dokończył, nie chcąc zawiadamiać żony na razie, iż umówił się z przyjaciółmi na tę godzinę.

Zauważyła ton niepewny i całując go w czoło powiedziała:

— Obiecałeś mi dzisiejsze popołudnie, zabawimy się wybornie... zobaczysz!

— Dobrze... tylko senny jestem.

Wychodząc, zamknęła drzwi od sypialnego pokoju i wraz z Marcinową sprzątała po obiedzie.

Zaczęła przygotowywać się do wyjścia, ka-

zała oczyścić buciki, umyła ręce, rozmyślając z niesmakiem o mężu, którego głośne, przeciągłe chrapanie rozlegało się w całym mieszkaniu.

Pewno pił i śpi, pomyślała z goryczą, i czy opłaci się przygotowywać dla niego niezwykle obiad? Zupa była niesmaczna, rozbratle niemożliwe, kartofle zdębiałe, a ten zajał się wszystkim, jemu dać trociny ze sosem, tak żeby zjadł. Ci mężczyźni wogóle nie mają smaku, przecież chwalą sobie restauracyjne jedzenie na łoju robione, jak to wszystkim wiadomo. Trzeba tylko umieć wmówić w nich, a wszystko będzie dla nich dobre.

Jednak o tem wyjściu na miasto on mówił jakoś niepewnie, ale wyjść z nią musi. Czyżby napróżno wymyśliła taki obiad? I była taka dobra, wybacząca, sama pościeliła mu łóżko... Już przez samą wdzięczność, a także za to spóźnienie się na obiad powinien pójść z nią i kupić kapelusz. Przydałaby się też nowa, wiosenna suknia, bo ta jej za szeroka i za fałdzista na dzisiejszą modę, no i buciki są też inne, angielskie, krótkie, a ona ma z wązkimi nosami, i rękawiczki przydałyby się i kołnierzyki koronkowe... No, to z czasem się zrobi, on musi kupić, ale nie może żądać naraz wszystkiego.

Jak go jednak zmusić do wspólnego spaceru? Umyśliła, że najlepiej będzie, gdy się ubierze i będzie gotowa do wyjścia na godzinę szóstą.

Zaczęła się ubierać. Okazało się, że pończochy przetarły się, nie było jednak czasu na pocieranie, wzięła nową parę, która miała trochę dziur na piętach i w palcach, włożyła, bo przecież bucików nie będzie zdejmowała. Wzięła długie, obcisłe, biodra opasujące gorset. Wprawdzie niewygodnie schylać się w nim, siadać, krępuje swobodę ruchów, ale w zamian jaka figura szczupła!

Nie była jeszcze gotowa z ubieraniem się, gdy posłyszała, że mąż się zbudził, a wkrótce potem stukot butów. Wszedł bez marynarki, ziewając głośno i pięściami przecierał oczy. Wyglądał nieszczególnie, łysawy, nieogolony, z ciemnym zarostem wyglądającym brudnawo, bez kołnierzyka, z rozpiętą koszulą. Widząc żonę ubraną, spytał zdziwiony:

— A ty pocię się tak wystroiłaś?

— Mammy przecież wyjść razem i cieszę się, że już wstałeś. Wyjdziemy za dnia.

— Aha! przypominam coś sobie, — zapalał cygaro niedopalone, — tylko wpierw muszę pójść na budowę.

— Jaki? Mówiłeś przecież, że tak się urządzisz, ażebyś był wolny na całe popołudnie.

— No i byłem wolny. Wpadnę na chwilę na budowę i natychmiast wrócę.

— Ale to będzie już wieczór, nic nie zobaczymy przy świetle.

— Owszem, wszystko zobaczymy, przecież nie będziesz dobierała kolorów, — ubierał się.

— A właśnie chciałam widzieć kolory.

— Masz Romciu cały ranek na zobaczenie.

— Ale chciałam się ciebie poradzić.

— Ja się na tem nie znam; no, do widzenia!

— Idziesz!? — zawołała rozczerwona, — ale wrócisz zaraz z budowy, jak mnie kochasz?

— Jak cię kocham... wrócę, — zamknął drzwi za sobą.

— Otóż to mąż, rozmyślała z goryczą, przyrzeka, a nie dotrzymuje! Napewno i teraz nie przyjdzie! I taki człowiek chce, ażeby go kochała! Żałuje mi każdego grosza, nic go nie obchodzi, jak się ubieram? z czego? Wiecznie za domem, niby to na budowie, a zabawia się ze znajomymi i przyjaciółmi. A wiem, że pieniądze ma, tylko skapi dla mnie! — Przypomniała sobie chwilę jego rozczerwienia i zwierzeń, iż ma kilkanaście tysięcy koron własnych, część jest w obrocie, a część złożona w kasie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)